Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 34. POZNAŃ. **1844.**

POEZJA.

Z córy sławy.

(Slawy Dcera.)

Jana Kollara.

Pracuy každy s chutj usilownan
Na narodu roli dědiene.

Na narodu wyplenionéj roli
Pracuj, każdemu ile starczy sił:
Tysiąc zawodów stoi wam do woli,
Byleby zapał i cel jeden był.

Głupi, kto badać gwiazd ponocne drogi
W niebo wysyła nieuczony wzrok;
Błazen, do kroków niewdrożone nogi
W sztuczny, kto zawodzi skok.

Pracuj, wielki li zawód twój, lub mały,
Wódz z szeregowcem równéj warci chwały,
Gdy swych stanowisk w równéj strzegą porze.
Częstokroć w wiejskiéj ukryciu zagrody,
Więcéj dla sprawy ojczystéj swobody
Zdziałasz, niż walcząc w wojennym taborze.

Roman Mazur.

Wyjątek z poematu.

Koło słońca kręgiem toczy
Ziemia jak oblubienica;
Wulkanowe lśnią jéj oczy
A śniegowe pierś i lica
A sukienka oceanu,
A głos: — pieśni druganu.

Słońce młodzian oblubieniec
Obramienił dziewę młodą
W gorejący światła wieniec
Aż jéj lica lśnią pogodą,
A na cudne ziemi szaty
Wystrzeliły życia kwiaty.

O! bo ziemia tak namiętnie
Pokochała światła czary —
W każdém drgnieniu, duszy tentnie,
Jéj miłości biją żary —
K' słońcu nie złamana w sile
Pielgrzymuje wieków tyle!

Ziemio! ziemio twoje dziatki
Zakochane w mroku czemu?
I nie piją z łona matki
Pragnień świętych ku wielkiemu?
Héj! za matką, w polot dzieci!
K' słońcu, co «Ludzkości« świeci!

Br.

Głos pastora R. Fiedlera

za

polskimi protestantami w Szląsku na synodzie prowincyalnym, dnia 5. Grudnia r. 1844. w Wrocławiu.

Lubo się nie spodziewam, ażeby przedmiot, o którym obecnie mówić zamyślam, wszystkich tu nas zgromadzonych zająć potrafił, ponieważ takowy tylko trzech lub cztéreth z naszego grona bliżéj obchodzi; jednakże poczytuję za powinność, zabrać tu głos w sprawie naszych polskich spółwierców protestanckich, których reprezentantem i ja jestem, aby na nich zwrócić uwagę szanownego synodu i polecić ich troskliwości jego, na którą tém bardziéj zasługują, że się losem ich dotąd mało co zajmowano.

Zanim jednakże przystąpię do bliższego rozbioru przedmiotu tego, nie od rzeczy będzie, podać naprzód krótką statystyczną wiadomość o polskich gminach protestanckich w Szląsku.

W prowincyi naszéj mieszka 100 do 120,000 protestantów, którzy na nabożeństwo, w polskim nie zaś w niemieckim języku odprawiane, uczęszczać pragną. Mają oni przeszło 50 kościołów, a przy nich z 40 księży; a powiaty kluczborski, namysłowski i sycowski w większéj części przez nich zamieszkałe. Wieki

niezawodnie upłyną, zanim polscy protestanci w Szląsku z tą samą łatwością po niemiecku wysłowić się będą mogli, jak w ojczystéj swéj mowie polskiéj. O wytępieniu zaś polszczyzny, ani pomyśleć się nie godzi; albowiem, pominąwszy wrodzone każdemu przywiązanie do mowy ojczystéj, już samo sąsiedztwo Polski i stósunki z nią nie każą mieszkańcom naszego pogranicza szląskiego zapomnieć języka polskiego.—Z téj więc przyczyny, czasy, w których może nie będzie koniecznem, protestantom prowincyi naszéj słowo boże opowiadać w innym, jak w niemieckim języku, jeszcze dalekie są od nas. — Księża protestanccy w okolicach polskich zwykle dwie mają gminy, niemiecką i polską, najczęściéj liczniejszą daleko jak pierwsza — do drugiéj bowiem po największéj części należą *włościanie*—; a zatém w dwóch językach nabożeństwo odprawiać muszą. Co się zaś tyczy gmin naszych: nie można im w ogóle zaprzeczać gorliwości w uczęszczaniu do kościoła.

Dobro więc tychże braci moich w Chrystusie szczepu słowiańskiego mając na uwadze, wnoszę o większe odtąd uwzględnienie ich potrzeb religijnych i kościelnych, a to pod trojakim względem: 1) co do obsadzania probostw, 2) co do ścieśniania nabożeństwa, i 3) co do opatrzenia ich szkół.

Co się tyczy obsadzenia probostw polsko-niemieckich, czyli tak zwanych utrakwistycznych, pomieckich, czyli tak zwanych utrakwistycznych, postępowanie w tym względzie dotychczasowe jest niesumienne. Do gmin, których połowę albo nawet dwie trzecie części składają Polacy, powoływano duchownych, nie troszcząc się o to, czy rozumieją po polsku, lub nie. Nieraz starający się o probostwo utrakwistyczne, dostaje je za samém przyrzeczeniem nauczenia się po polsku; po uzyskaniu zaś tegoż, rzadko który się w przyrzeczeniu swojém uiszcza. Czasem takiemu patron kościoła napomyka dosyć wyraźnie: »żeby się nie starał o wyuczenie się polskiego języka; ponieważ, jeżeli duchowny nie umie po polsku, gmina tém prędzéj przymuszoną zostanie przyswoić sobie niemczyznę.«—Ztąd pochodzi, iż wielu duchownych, nieumiejąc wcale kazać po polsku, nazywa się nibyto polskimi. Dla tego też nieraz w świątyni pańskiéj słyszeć można słowo boże opowiadane w zepsutym jakimś języku, zupełnie niezrozumiałym dla słuchaczy, który jednak dla biednych Polaków ma być dosyć dobrym. — Ztąd wynika, że księża utrakwistyczni dla nieznajomości języka polskiego, zdania bez sensu i zupełnie śmieszne częstokroć na kazaniu objawiają. Dla tego też nieraz się zdarza, iż mowę przy ślubie, pogrzebie itp. u protestantów nawet ksiądz katolicki miewać, a duchowny protestancki przytém rolę statysty odgrywać musi. Ztąd nareście pochodzi, co jest najsmutniejszém, że tysiące, których mądrość Boska innym, jak nas, obdarzyła językiem, potrzeb religijnych nie mogą zaspokoić, a nawet wielu nieobeznani są z religią, a ciemnota i zabobony pomiędzy nimi panują.

Lecz dla czego, zapyta może niejeden, gminy polskie pozwalają na narzucanie sobie duchownych, nieznających ich języka? Odpowiedź na to: że gminy polskie nie wiedzą jeszcze po największéj części, czego na mocy prawa żądać mogą, i że łatwo bywają przegłosowani przez niemieckich współwierców do téjże saméj, co oni, parafii należących, do których t. j. Niemców liczą się patron i znakomitsze osoby. Jeżeli kandydat spodoba się gminie niemieckiéj, wtedy i Polacy przyjąć go muszą bez oporu.

Postępowanie takie niesłusznem i niechrześciańskiém. Rząd, który słusznie stara się o rozszerzenie głównego języka krajowego, nie będzie zapewne chciał, żeby się to stało z uszczerbkiem religii i moralności mieszkańców. — Przejęty tém przekonaniem, w imieniu współwierców moich szczepu słowiańskiego, stanowiących znaczną część członków naszego kościoła protestanckiego w Szląsku, wnoszę tu, żeby

»na przyszłość przy obsadzaniu probostw utrakwistycznych miano szczególny wzgląd na potrzeby religijne Polaków, i żeby im nie narzucano duchownego, któryby od kommissyi egzaminacyjnéj, przez rząd wyznaczonéj, nie odebrał zaświadczenia, że przynajmniéj za pomocą grammatyki i słownika sam potrafi wypracować kazanie polskie, i odczytać takowe wyraźnie i dobrze.«

Drugi punkt, na który zwrócić uwagę rządu poczytuję za niezbędne, stanowi ścieśnianie dotychczasowe nabożeństwa polskiego. Dotąd w téj rzeczy duchownéj podług własnego upodobania mógł postępować. Jeżeli tenże, bardzo niedostatecznie znając język polski, urząd swój objął, natenczas odprawianie nabożeństwa w języku polskim, dla niego bardzo niedogodne, o ile mógł, opuszczał i wszelkim sposobem ścieśniał. Zażalenia członków gminy polskiéj, zanoszone do niego, wcale obojętnie przyjmował. Może ich też nie rozumiał, albo odpalił ich po prostu, zbywając tém: »że rząd chce, żeby powszechnie uczono się po niemiecku, i że tylko dla kary godnego zaniedbania języka panującego nabożeństwo polskie cierpiane być musi.« — Przełożeni, którym doniesiono, iż tu i owdzie nabożeństwo polskie zostało zniesionem, myśleli, że to wypłynęło z rozprzestrzenienia się niemczyzny, a może i pochwa-

lili duchownego za gorliwość w rozszerzeniu głównego języka krajowego; gdy tymczasem biedni Polacy, samym sobie zostawieni, przymuszeni byli szukać po innych sąsiednich kościołach zaspokojenia potrzeb swych religijnych, albo domowém nabożeństwem zastępować nieodprawiane nabożeństwo niedzielne. A ponieważ takie postępowanie jest okrutném, wnoszę aby

»*na przyszłość nabożeństwo polskie tylko tam ograniczono lub stopniowo zniesiono, gdzie gmina rzeczywiście zniemczała, i żeby urząd duchowny miał baczność na to, żeby przez ścieśnianie nabożeństwa polskiego chrześciaństwo uszczerbku nie doznawało.*«

Nawet wtenczas, kiedy tylko mała część gminy jest polską, niewolno zaniechać nabożeństwa polskiego, ani całkiém jéj odejmować sposobności zbudowania się w świątyni pańskiéj. — W ogóle trzeba doskonale znać obcy język, aby można słuchać z skorzyścią nabożeństwa w nim odprawianego. Polak o rzeczach potocznych z łatwością może się rozmówić po niemiecku; jednakże nie zrozumie kazania niemieckiego, ani się niém zbuduje. Bo zresztą jedynie mowa ojczysta przemówić może do serca.

Trzecim punktem, który niemniéj jak dwa poprzednie, zasługuje na uwagę, jest obsadzanie posad nauczycielskich w polskich okolicach Szląska. Umieszczają przy szkołach całkiem polskich, zwykle Niemców nauczycieli; bo mniemają, że przez nich najlepiéj rozszerza się niemczyzna. Doświadczenie zaś uczy, iż pominąwszy wszelkie inne niedogodności, ciążące na takim nauczycielu, postępowanie takie jest przewrotném; bo ten tylko nauczyciel z korzyścią udzielać może nauki, który zna, choćby też nie zupełnie doskonale, język uczniów swoich. — Tylko przez to, iż Polak po polsku odbiera lekcye języka niemieckiego, można się przykładać do zaprowadzenia niemczyzny. Przypuszczam, że taki sposób uczenia w dwóch językach, jest uciążliwym, i wstrzymuje postęp nauki; ale o temem przekonany, że jedynie przez to zapobieżemy, aby nasze dzieci, do szkół uczęszczające, nie wychodziły na same papugi niemieckie. Przystaję na to, żeby w naszych szkołach uczono w języku niemieckim; ale nauczyciel powinien wprzód dzieciom w ojczystéj ich mowie objaśniać to, co im udziela i czego im każe uczyć się na pamięć po niemiecku, szczególniéj w religii. Powinien on także, uczniów wyższéj klassy przynajmniej przez godzinę na tydzień uczyć czytać po polsku, ażeby, wyszedłszy ze szkoły, z korzyścią słuchać mogli nabożeństwa polskiego. Do tego nietrzeba koniecznie nauczyciela, któryby zupełnie dobrze umiał po polsku; już ten dopnie celu, który, obejmując posadę przy szkole, tylko czytać umie po polsku, obeznany jest z grammatyką polską i niejaki zapas słów polskich ma na pogotowiu. Nauczyciel tak przysposobiony, potrafi też w szkole swéj stósownie do potrzeb uczniów, udzielać tymże lekcyi; a przez ćwiczenie codzienne sam się wydoskonali w polskim języku. — Z przyczyny zwyż wyłożonych wnoszę dla dobra kościoła i szkoły, aby

»*seminarzystom nastręczać sposobność wyuczenia się po polsku już w seminaryum, i aby szczególniéj tych, co się urodzili w okolicach polskich Szląska i od kolebki mówią po polsku, umieszczano tam, zkąd pochodzą.*«

Obowiązek i sumienie nakazały mi jako duchownemu protestanckiemu, podać teto wnioski na tém naszém zgromadzeniu, które zamierza rozwinięcie zdrowego i silnego życia kościoła naszego. Mógłbym, jeżeliby tego zażądano, do każdego z wyrzeczonych tu przezemnie zdań, dołączyć komentarz na doświadczeniu oparty, i przykładami zasilany; a natenczas niepomyślne położenie tak wielu naszych spółbraci protestanckich w gorszém daleko świetle wystawiłbym, jakem przez obecny wywód skreślić był w stanie. — Nie chciałbym jednak, ażeby mi zarzucano, jakobym sprzyjał tendencyom przeciwnym żywiołowi niemieckiemu. Jestem Niemcem, i życzę, żeby piękna moja mowa ojczysta jak najdaléj rozeszła się po świecie. Ale wyższém nad niemczyznę jest dla mnie chrześciaństwo, a przedewszystkiém potrzeby pierwszego zaspokoić winniśmy. Żywiołowi słowiańskiemu prowincyi naszéj kazać zamilknąć na wieki, — ani sposób; odzywa on się aż nader głośno w trzeciéj części Szląska. Jeszcze jest między nami przeszło 100,000 protestantów szczepu polskiego; a ponieważ są, służy im też to prawo, co innym, a zatém mogą oni żądać, żeby miano wzgląd na ich potrzeby religijne itd. itd.*)

W starym piecu djabeł pali.

(Opowiadanie mojego dziadunia.)

(Ciąg dalszy.)

Więc i ja za kupą wziąłem się już w drogę, kiedy pan porucznik: — Héj panie Józefie! — skazał ku mnie po imieniu.

---

*) *Na ogólném zebraniu synodu prowincyalnego wnioski te nietylko powszechnie przyjęto*, — ale żądano jeszcze, *aby ostatni punkt, tyczący się szkół, rozprzestrzeniono w ten sposób*, aby dzieciom polskim tylko w języku polskim dawano nauki (daß polnische Kinder auch förmlich polnischen Unterricht erhalten möchten. —)

Powolne służby. — Mam ja dla waszmości coś innego; — a co — podejmiesz się chłopcze? — Ze wszystkiéj duszy panie bracie, byle jedno ku pożytkowi pospolitéj sprawy. — Turku — a dawałże ja bym ci co innego, — zawiodł klepiąc mnie po ramieniu; — a potém krótko i węzłowato, wyciął mi, — że wiedząc o mojéj kawalerskiéj cnocie, ma dla mnie legationem, nie żarty — nie przelewki, — a legationem do pana Czarneckiego, owego z Secymina dziedzica, com to waści o nim tyla prawił, — a na tedy pana marszałka konfederacyi krakowskiéj. — A to sprawa narodowa, sprawa taka, że co nie daj Boże niech mnie złapią, to i wszystkiéj konfederacyi w łeb wziąść jak z płatka. — Więc wręczył mi potém pism kilka, znać z Litwy — z stolicy! — znać ważne — znać pilne, — bo przykazał czesać z tém jak wiatr do Krakowa, a być czujnym jak lis. —

A co — zgoda — kończyłem znów — panie bracie? — Zgoda — zgoda przy boskiéj pomocy, odbiłem, a rósłem jak chleb na drożdżach; boć téż to przecie mile na sercu człeku — i fortunnie, kiedy widzi, że nie jest popychadłem u ludzi, — że sobie téż zarobił na kawałek estymy i poczciwego imienia, — o mile — i łacno, choćby téj estymy i krwią dokupić się przyszło.

Tak więc mój waść mospanie dobiłem. — On dał — ja wziął, — potém uścisnęlim się po bratersku, — potém cmych każdy w swoją stronę, — potém téż nadleciała i noc, — z nocą Moskwa jak charty w kniei — my jak lisy, — koniec końcem przy boskiéj pomocy ogralim ich, — i piątego ranka już potém, ja sobie mospanie swobodny — wesoły jak ptaszek, wywijam po szkalmirskich pólankach.

Spotkałem wprawdzie po drodze Moskwę, i nie raz — i nie dwa, — alem się kręcił tak gracko, że ni razu nie przyszło nam na kwaśne jabłka. — Więc już sobie plótłem, żem w domu — żem zgryzł ów orzech — że jutro da Bóg doczekać, spocznę sobie już w naszym starym grodzie jak basza w haremie. — A i o Krakowiankach téż zasłychałem nie jedno; — i już po muzgownicy roją się niestworzone bajki, już myślą — było, znachodzę jaką bogdankę — więc tnę koperczaki — pomuskuję wąsika, — a szabelką dzień! dzień! — a serduszko puk! puk! — jak to powszednio, jak w młodéj głowie wszystko pomieści się — uszańcuje ot tak składnie jak w niebie, — a tu masz go djabła, na świecie wszystko na opak. — Chłop strzela — Pan Bóg kule nosi — oj i mnie poniosło, ale o włos, że nie do królestwa niebieskiego.

Wiesz chłopcze ten gościniec, jak się jedzie do Szkalmierza ku Krakowu? — No — Więc o milkę od miasteczka, stoi las, — wedle lasu, w zielonym sadzie, jak kulik w łozinie — Nadzowska karczma. — Tak dzisiaj, tak było 59 latek temu w tył. — Tylko ta dąbrowa nie taka w ów dzień widna — przejrzysta, i te okoliczne przygórza, co na prawo obsiadły te strony łańcuchem, oj nie takie łyse — do niczego. — Bór był to mospanie bór gruby, i nadobny i dorodny — bór jak jedno drzewo. — Nasze pany po zwyczaju przetopiły go na paryskie cacka — i paryskie głupstwo, a dziś skalmirski poczciwy lud, za to od zimna mrze. — A nie będzie chłopka, to nie będzie snopka, — nie będzie pszenicy — zdychajcie ślachcicy, mówi stare słowo. Niech sobie mówi z P. Bogiem, więcéj do nas gadało, niesłyszeliśmy — i to nas nie zagłuszy. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRYTYKA.

Die Atheisten und Gottlosen unserer Zeit von Friedrich von Sallet.

Leipzig. 1844. Druck und Verlag von Philipp Reclam jun.

(Ciąg dalszy.)

Popęd płciowy jest rzeczonym warunkiem, znaglającym dwie jednostki różnopłciowe do zawarcia pierwszego ścisłego związku z sobą, a lubo się ten związek na pierwszy rzut oka li zmysłowym być wydaje, mieści on przecież w sobie możebność prawdziwego duchowego zestrzelenia się, a raczéj jest on samém poczęciem duchowego życia dwóch jednostek w nierozłącznéj jedni.

Związek ten wymaga koniecznie różnopłciowości, czyli może on tylko między mężczyzną a kobietą do skutku przyjść. Jedność bowiem prawdziwa, ścisła i żywotna jak w naturze tak i w sferze duchowéj może jedynie z dwóch różni powstać. Jak tylko różne bieguny magnetyczne, t. j. siła dodatnia i siła ujemna wzajemnie się przyciągają i w nierozerwaną jedność kojarzą, — tak też tylko mężczyzna, jako siła dodatnia, i kobieta, jako siła ujemna, ścisłą organiczną jedność utworzyć są w stanie. Jednakże duchowa różnia tych dwóch jednostek nie ma się do siebie jak różna materya do materyi różnéj, — gdyż w takim razie nie byłyby w dwojgu jednojgiem, ale wciąż dwojgiem, — lecz jest ona różnią czyli różnolicowością ducha, bę-

dącego w obu osobach *jedną i tą samą istotą*, w innéj tylko fazie swego właściwego rozwinięcia się pozostającą. Duch bowiem, czy mniéj czy więcéj rozwinięty, zawsze jest duchem; — do ducha rozwiniętego nic nie przybyło, jest on tym samym, którym był, będąc jeszcze nierozwiniętym; rozwinąwszy się, wypracował on się sam w sobie, i ze siebie i przez siebie, czyli przejrzał się sam w sobie, obejrzał się wszechstronnie, i o własnych swych siłach po uznaniu siebie i do jasnéj wiedzy o sobie samym doszedł. A tak kobieta, choć na różnym stopniu rozwoju duchowego stojąca, nie mniéj jest duchem, jak i mężczyzna, i téż dopiéro oboje jako istoty duchowe zdołają się zupełnie i prawdziwie w duchu nieskończonym w jedyną jedność zlać i stopić. Ponętą zaś i bodźcem do téj kojarzni jest różnopłciowość *zewnętrznie*, a różny stopień rozwinięcia duchowego *wewnętrznie*.

Kobiéta przeto jest duchem, lecz duch jéj pozostaje jeszcze na szczeblu i w formie przyrodzoności; bytuje on tylko, lecz jeszcze sam przez siebie i dla siebie nie istnieje; nie rzucił on jeszcze powłoki przyrodzoności, i dla tego nie zdoła się tak samodzielnie, jak duch mężczyzny, sam w sobie i przez siebie poruszać. Kobieta przedstawia ducha w jego spokojnéj, saméj w sobie spoczywającéj, i od początku ukończonéj i gotowéj *wszystkości*. — Podobna ona do nieruchomego przezroczystego jeziora, wieczném światłem aż do samego dna prześwieconego, którego fale jeszcze swéj żywotnéj siły w mocowaniu się z samymi sobą nie doświadczały i nie poznały.

W mężczyźnie zaś objawia się duch w prącym niepokoju, i w gwałtownie wydzierającym sie czynie myśli. Lecz aby się mężczyzna w swém cały świat ogarniającém myśleniu za daleko na dzikie bezdroża i na z życia ogołocone pustynie bez upamiętania nie zagnał, aby się sam w sobie nie rozdarł, i o twardą skalistość przeciwieństw swéj myśli nie strzaskał, zniewolony do miłego spokoju i do pierwiastkowéj pełni ducha kobiecego z swych zagonów nawrócić; a tu znowu nienaruszenie trwającą jedność i wszystkość, czyli raj utracony odzyskuje.

Kobieta zaś upatruje i uwielbia w mężczyźnie dokonany czyn ducha, w którym swoją jakby we śnie dyszącą duchowość na jawie sprawdzoną i stwierdzoną znajduje, i w którym jak w zwierciedle sama siebie ogląda, poznaje, i, *czem właściwie jest*, uznaje. W mężczyzny na jawie odbywającém się działaniu widzi kobieta swoje ciche i błogie sny wyłożone, wyjaśnione i świetną szatą rzeczywistości odziane; rozradowana przyciska się i przytula w uniesieniu miłości i zachwytu do niego, i ociera pot z czoła mężowi, który jéj Boga przedstawia, w którym dopiero sama siebie pojmuje i rozumie, a w którym się duchem wolnym uczuwa.

Ta jedność jednakże nie tylko wewnętrznie we dwóch jednostkach ze sobą połączony objawiać się powinna, lecz musi ona i na zewnątrz na widok świata jako stósunek ustalony, czcigodny i nienaruszalny wystąpić, ażeby duch czyli Bóg na tym pierwszym stopniu swego rozwinięcia wśród skończoności ducha, *jako jedność dwojga w duchu* także i w swéj manifestującéj go ziemskiéj formie światu się ukazał. Tym stósunkiem i tą formą jest małżeństwo, będące z pomiędzy wszystkich ludzkich instytucyi najpojedyńczszém i najpierwotniejszém ucielowaniem czyli skrystalizowaniem wolności i objawieniem nieskończonego ducha.

Z połączenia się takowego dwóch jednostek wynika, że się jedna drugiéj w całéj swéj zupełności oddaje. Ponieważ zaś człowiek, jako istota duchowa, rozdzielić się nie jest w stanie, przeto też nie może więcéj jak raz jeden tylko, sobą całym rozrządzać, t. j. małżeństwo koniecznie monogamią być musi, czyli połączeniem się dwóch osób, i to nie na pewien umówiony czas, ale na całe życie.

Tém samém atoli pierwszy i najnieograniczeńszy akt wolności spełniony, gdyż człowiek uznał się panem swéj całéj i najwewnętrzniejszéj osobistości, którą drugiéj osobistości oddaje a przecież zarazem i zachowuje.

Małżeństwo jest więc świętą krynicą wszelkiéj duchowości i wolności, a nawet wszelkiéj cnoty i kształtów społeczeńskich. Jedność, za jaką się człowiek wewnętrznie uznał, powinien także i zewnętrznie w swém życiu przedstawiać, a jéj najpierwotniejszém przedstawieniem jest wierność małżeńska, w któréj się niezachwianość *ducha w sobie* najpierw objawia. Gdzie ta kardynalna cnota zaginęła, tam niezawodnie głębokie zepsucie ciało społeczeńskie we wszystkich kierunkach roztacza, tam cała budowa się chwieje i lada chwilę sama w sobie się zapadnie. Tak było we Francyi przed rewolucyą, gdzie się dwór i wyższe stany ze świętości i nietykalności małżeństwa publicznie naigrawały. Gdzie zaś wierność małżeńska w powszechny obyczaj weszła, tam jest mocna podwalina do wszelkiego dalszego rozwijania i kształcenia się jędrnego i zdrowego ciała społecznego.

I też istotnie narody, u których się jeszcze małżeństwo do pewnéj stałéj formy nie wyrobiło, w stanie zwierzęcéj dzikości pozostając, ani państwa ani historyi nie mają. Gdzie zaś czyste pojęcie małżeństwa skoślawione w wielożeństwo się wyrodziło, jak u narodów muhametańskich, tam historyczne stósunki

jakaś ciemna, chaotyczna fermentacya zamąca. Niczém niepohamowane samowładztwo i nikczemne intrygi haremu niweczą tam wszelki postęp w życiu społeczném. A tak, jak pojęcie małżeństwa w całym narodzie upowszechnione nieomylną jest miarą i wskazówką stopnia cywilizacyi tegoż narodu, równie duchowe i obyczajowe wykształcenie pojedyńczego człowieka już po zdaniu i sądzie jego o kobietach i małżeństwie rozpoznać można.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynika więc, że cielesne obcowanie, z którego małżeństwo pierwotnie swój początek bierze, przecież przez uduchownienie tego stósunku tylko podrzędne a nie główne znaczenie mieć może. Prawdę małżeństwa stanowi sama jedność mężczyzny z kobietą w duchu, gdyż człowiek, jak tu; tak i wszędzie i zawsze tylko w duchu swoją prawdę znaleść może. Że tak a nie inaczéj rzeczy się mają, dowodzi już to samo, że u narodów ucywilizowanych *duchowe* zawarcie związku przed zmysłowém spółkowaniem występuje, które to ostatnie jako w związku duchowym objęte, z niego téż tylko swoje upoważnienie do istnienia bierze.

Tu będzie miejsce stósowne nadmienić, jaki stósunek miłość romantyczna do małżeństwa zajmuje. Miłość jest duchową jednością mężczyzny i kobiety, ale jeszcze w formie *uczucia i fantazyi*, a zatém nie jest to jeszcze jedność dokonana, lecz tylko przeczuwana; jednakże już się w niéj prawdziwa jedność, tak jak kwiat w pączku, mieści. Właśnie to, że miłość tylko jest przeczuciem, nadaje jéj ten błogi i uroczy powab. Człowiek uczuwa w rozkosznéj tęsknocie z cicha się w sobie rozwijającą nieskończoność ducha. Lecz to przeczucie jedności nie jest jeszcze prawdziwą jednością, i dla tego pod tym względem, ale téż tylko pod tym a nie innym, słusznie utrzymywać można, że miłość w małżeństwie znika. Lecz znika ona tylko tym sposobem, że przeczucie swego spełnienia dosięga, t. j., staje się ona przezroczystą i jak myśl jasną. Występuje ona z nieokreślonego pomroku marzenia na jasny widok ocuconego ducha, przez co ani swéj jędrnéj pełni, ani swego miłego ognia nie traci, a to, co na fantastycznym uroku ginie, wynagradza się jéj obficie istną szczérą prawdą.

Ponieważ zaś człowiek, nie będąc od razu czystym duchem, wielką wieczną prawdę najprzód w sobie w formie uczucia znajdować musi, skąd ją dopiero swym czynem ducha do czystéj duchowości wydźwiguje, a ponieważ szczególnie kobieta w swéj pokornéj drzémliwości, zanim w mężczyźnie królestwo czystego ducha ujrzy i pozna, zupełnie na szczeblu bezpośredniego uczucia pozostaje, przeto owa romantyczna miłość koniecznie przed zawarciem związku małżeńskiego objawiać się winna, jeżeli małżeństwo rozsądném i moralném być ma; a przeto nie jest to bynajmniéj rzeczą obojętną, czy dziewczyna tego lub owego za męża dostanie, i nie jest żadnym dziecinnym uporem, ani błachą igraszką, jeżeli osoba przy swém słuszném prawie wolnego wyboru obstaje. Albowiem bez owéj pierwszéj jedności uczuciowéj nie zdoła się nigdy a nigdy prawdziwa jedność rozwinąć.

Rezultatem dotychczasowego rozwijania rzeczy jest więc to: małżeństwo jest pierwsza jedność dwojga w duchu z granic przyrodzoności wykwitająca. Dwie szczegółowości mogą atoli tylko w bezwarunkowéj ogólności, wszelkie szczegółowości w sobie znoszącéj, prawdziwem jednojgiem być; a tą bezwarunkową ogólnością jest duch nieskończony czyli Bóg.

Małżeństwo jest więc pierwszą jednością ducha skończonego z samym sobą w duchu nieskończonym czyli Bogu, a zatém w małżeństwie *obecność Boga* uważać i szanować powinniśmy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD PISM.

Poezye Alexandra Grozy

przez

ROMANA MAZURA.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz znowu poganie szturm ponawiają zawzięty: — wre bój, na wały garnie się łakoma dzicz; aż nagle, za jedną razą na widok lecącego z odsieczą Soroki uchodzi tatarska tłuszcza i z dwu stron parta, ztąd świeżemi hufcami, ztąd wycieczką, któréj przywodzi Praxeda, łamie się, upada i w niwecz ginie. Ale zwycięztwo drogo okupiło wojsko chrześciańskie, droższ młoda atamana żona; po pobojowisku chciwie pyta ona i szuka drogiego męża — naprożno!

„Na tłumie trupów w kupę zwalonych;
Na tłumie trupów zbitych, zsieczonych,
Leży oparty martwy Soroka.
Pierś jego — jedna rana głęboka,
Skroń jego — jeden potok czerwony;
Przy jego nogach stoi koń wrony;
I jakby nierad z pańskiego spania,
Kopytem grzebie, tręzlą podzwania“ . . . .

Niezliczona tłuszcza narodu wysypała się pogrześć ciało swego wodza — i za trzy dni powstała ogromna mogiła, pod którą spocznie wojownika trup. Pieśnią odchodzącego towarzysza bojów, pozostała żegna drużyna.

„Chorowód stanął po pod mogiłą,
Dwieście mołodców raźno skoczyło,
Dwieście Tatarów głowy pozbyło;
Padły bełkocąc tatarskie głowy,
Krwią zachlupały czarne tułowy,

Krwią zachlupały, krwią zadymiły,
Długim się mostem precz pościeliły;
I po tym moście, przy trąb rozgłosach;
I po tym moście, przy ludu głosach,
I po tym moście, przy pieśniach, jęku,
Druhowie druha nieśli na ręku.
Na wierzch mogiły, i w grób złożyli,
I łzą poleli darnią zakryli . . . . . .

✦ ✦ ✦

Jak gołąb siwy, śpiewak wiekowy
Z swą lirą w ręku siadł na mogile,
Patrzał przez chwilę, dumał przez chwilę,
I zagrał . . . . . .“

Tu następuje pieśń lirnika. W pieśni téj opowiada, jako wódz zmarły na bizanckim grodzie, zdobył obraz Boga-Rodzicy cudowny, potém świętego zabrał ztamtąd popa, potém za wyprawą trzecią uczonego wywiózł budownika, by mu na ruskiéj ziemi cerkiew wybudował świętą. Jako wreście wziął z miasta greckiego młodą sierotę Praxedę w małżeństwo, i przyprowadził z sobą brata jéj Marka, dziedzica trzech trąb cudownych. Jako walcząc bez ustanku z wrogi, w czterdziestu bitwach zwycięża, ztąd *Soroki**) miano wziął. — Liryczny żal kończy pieśń lirnika; na ostatek krótkie domówienie autora zamyka całe dzieło.

Podobnie jak w dumie o Żeleźniaku, w Soroce treścią główną są podania Ludu; mimo to wszakże, uderzająca pomiędzy obiema tworami temi zachodzi różnica. Różnicę tę głównie sprawia odmienny charakter użytych przez autora podań. Treścią pokuty Żeleźniaka są bowiem gminne *podania* w najgłębszém i najściślejszém znaczeniu słowa: jest to rdzeń sam myśli naszego Ludu, najtajniejsza strona jego pojęć i wiary — téj wiary jego własnéj, nieznanéj mądremu światu, nienazwanéj żadném mianem, która ogarnia całe życie świata i swoje, która objaśnia i owiewa wszystkie uczucia serca jego, budzi w niem zgrozę i natchnienia i bodaj czy nie samowładnie rządzi mu i panuje, obok drugiéj — urzędowéj, że ją tak nazwać należy, religii; są to rumowiska wiekowe, gdzie gruzy staréj, wielkiéj sławiańskiéj świątnicy, któréj każdy kamień skrytém znaczeniem i mocą zaczarowany i dziś jeszcze choć oderwany od budowy wala się w prochu i zielsku, niestracił swéj dziwnéj potęgi, mieszając się w nieładzie dzikim lecz uroczystym z szczątkami późniejszych kościołów, co na ich zgliszczu powstały, posplatane bluszczami zielonéj wyobraźni, pokrytéj jednym, wielkim mchowym całunem żałoby. Podania zaś wcielone w pieśń o Soroce mniéj stare i mniéj głębokie, są to *wspomnienia* historycznych już czasów i dziejowych wypadków, w kształcie, w jakim je umysł gminu zachował; wspomnienia li miejscowe, ukraińskie, tak jak u nas na Mazowszu przechowujące się tu i owdzie powieści o Szwedach, Krzyżakach, królowéj Bonie. — Ta niezmierna różnica dwu gałęzi podania gminnego, wskazuje autorowi, który korzystać z nich pragnie, dwojakie a zupełnie odmienne użycie.

Owe tajemniczego ducha *podania*, będące złomkami systemu rozległego, bo milionom mnogim wspólnego, — częściami wiary gminnéj, a tym samym czynną moralną potęgą, nie tak winny by służyć jako materyał dorywczy, pojedyńczo i w rozerwaniu brane, ale raczéj trzeba, by poeta, który ich imać się śmie, pojął je w całéj rozległości i jedni, poczuł w sobie ich wielkość i rozumienie, rozwinął je umiejętnie w myśli i przejął się w serca tajnikach, jako niemi przejęty jest Lud jego bliźny — tak jako pojęli i czuli w sobie wieszczowie starzy dziwy mitologii, jako późniejsi śpiewacy wieków średnich owładnięci byli świętością swéj wiary. Czas, gdy te warunki spełnione będą, nadchodzi — dziś, jutro wstaną nowi, nowym duchem ożywieni pieśniarze, a dzieła ich, jakąbądź treść im obiorą, przesiąkłe wszakże całe natchnieniem twórców, zaświecą urokiem i ogromem, większym a przynajmnéj silniéj do naszego plemienia mówiącym, niż rapsody greckich poetów, niż wszystkie wieków rycerskich i krzyżowych legendy i powieści. Inaczéj rzecz jest z *podaniem-wspomnieniem*. Ono bywa najczęściéj samo w sobie zupełną całością, błyskiem świecącym z mogiły, odbiciem chwili dziejowéj, myśli lub życia zwierciadłem — stósownie zatém z naturą używać przystało. Są to dla sztukmistrza, zdejmującego obrazy przeszłości, niewypowiedzianéj ceny wzory — posągi to i arabeski, z których snadno odgadnie kształt całego gmachu, co je w sobie mieścił, widma wpółznikome i mdłe, ale prawdziwe rysy pomarłych noszące, z których właściwe postaci naśladować może. Oczewiście użycie tych drugich podań ani tak ogromnego geniuszu, ani tak rozległéj wymaga pracy, Pisarz ma tu przed sobą powieść lub pieśń, jak malarz ułomek dawnego marmuru, który tylko z uczuciem jego szczególnéj piękności, wiernie kopjować należy. Nie mniéj jednak, doskonałe takowéj kopii zdjęcie dowodzi ręki prawdziwego artysty. Kłamstwem byłoby téj zalety odmawiać A. Grozie w dumie niniejszéj.

Jak to już widno z miejsc tu przytoczonych, od samego zaraz wstępu począwszy, szczęśliwie pochwycił on tok gminnéj dumy, i z nie licznemi usterkami utrzymał go prawie do końca. Obrazy mnogie przewijające się raz po raz przed okiem naszém, w największéj części uderzają jasną barwą życia i poezyi. Pod tymi obudwoma względami, Soroka o sto wyżéj razy stoi od poprzedniéj dumy. To nie luźne i rozwlekłe opowiadania, to same widoki, same czyny przemawiają tutaj swoim jaskrawym językiem. Nie mogę sobie i czytelnikowi odmówić przyjemności wypisania jeszcze parę ustępów, o jakie istotnie nie wszędzie łatwo. Takiém jest zaczęcie części drugiéj:

»Gdzież się podziały te białe sioła,
Gdzie tamta młodzież hardego czoła!
Nie dostać było niwie przed gradem,
Ni im przed hordy dostać napadem.
O złota niwo! na cóż cię żżyna
Kto cię niezasiał? . . . Trwoga rozpina
Jastrzębie skrzydła, i wrzeszczy: biada!
I z sioła w sioło, z grodu w gród wpada.«

Cudniejszy jeszcze, bo nietylko wyborném pochwyceniem tonu, ale samą treścią, wziętą z owego świata najczarowniejszych podań, jest obraz nocnego zjawienia duchów:

» . . . . . . Błysnął księżyca
Jeden róg złoty i zagrząsł w chmurze,
Błędny ślepowron zadzwonił w górze;
I cisza; tylko ze rżeniem koni,
Coraz to słyszysz głuchy chrzęst broni . . .
To jak znudziwszy swój wiek spokojny,
Budzą się ojców duchy do wojny,
I przebudzone po stepach gonią,
I w stare zbroje, w kopyta dzwonią;
I dzwonią strasznie, jak na sąd Boży.
Ocknięny Tatar w sobie się strwoży,
Nie wierzy sobie, oczom nie wierzy,
A wojsko dziwnych, strasznych rycerzy
Pędzi mu w oczy, pędzi i znika.
Zawyje z wiatrem muzyka dzika;
Muzyka wilków u kościeliska,
Gdy im głód kości wpycha do pyska.«

Ustęp ten, w sobie sam będący doskonałą całością, nie ma równego w całym zbiorze Poezyi A. Grozy; pierwsze to i nie ledwie też jedyne miejsce, gdzie mi zadrżało serce i po kościach przeszło mrowie przerażenia, jakie przechodzić mię zwykło, gdy u dymnego ogniska słyszę cudowne baśni Ludu, z cudowną szczérością i siłą płynące. Pochwała to, nad którą nieznam większéj, a słuszna.

Przecież, pomimo tak uroczych piękności rozsianych bujnie, — więcéj nawet — prawie nieprzerwaném snujących się pasmem, cała duma niezadowalnia bynajmniéj wymagań, jakie mieć wolno od każdego utworu sztuki; w czytaniu niewystarcza ciągłému zajęciu, niebudzi w sercu uniesień ni

*) Sorok, w moskiewskim języku i ruskiém narzeczu naszego Ludu, znaczy czterdzieści.

wruszeń, i nieledwie przymusić się trzeba, by je przeciągnąć do końca. Pochodzi to raz z pospolitéj u autora wady — z braku przyzwoitego rozmiaru części składowych i harmonii ich ogólnéj; po drugie ztąd, że zapomniał zupełnie, a bardziéj nie wniknął w naturę duszy słuchaczów. Najbardziéj mistrzowskie próby sztuki, najplastyczniejsze malowidła niepodołają zaspokoić serca; szuka ono zajęcia losem bliźnich istot. Ztąd każdego utworu koniecznym jest warunkiem dramat uczuć lub wypadków, prowadzony przez ludzi, miotający nimi. — W powieściach i pieśniach gminnych, opisy i obrazy dla tego właśnie tak się serdecznie podobają, że choć doskonałe i zupełne, nigdy nie są celem, ale pobieżnie rzuconą ozdobą. Nie zbyt nawet wielkiego w utworach Ludu rozpatrzenia trzeba, by odkryć ten charakteryzujący je przymiot. Szkoda, że autór, który szczegółowe utworów tych zalety tak dobrze umiał tu uchwycić, niezechciał zadać sobie pracy i wniknąć bardziéj w ich przyrodę powszechną, uchroniłby się przez to ciężkiego niejednego błędu. Zapatrując się w nie baczniéj, spostrzegłby, że tam nawet, gdzie powieść jest dowolném powiązaniem wypadków dziwnych i obrazów czarnoksięskich, nie mniéj zachowaną bywa miara doskonała; że każdy ważniejszy wypadek występuje niby skalisty wierzchołek nad lasem powikłanych ustępów, i silniéj uderza do piersi — i po takich to wyniosłościach miarkuje słuchacz bieg baśni, którego nieraz inaczéj myśl objąć by niezdołała. Dojrzał by jeszcze był, że w pieśni lub bajce, jeśli użytą bywa cudowność, jeśli występuje jaka nadziemska siła, nigdy ona nie jest puszczoną samopas, bez wpływu na cały ciąg zdarzeń; przeciwnie samowolnie ona rozwiązuje zbyt splątane, by naturalnie rozwikłać się dały wypadki, i nowy, dziwniejszy coraz nadaje im kierunek. Bez takiego wpływu na treść poematu wprowadzone działanie nadprzyrodzonego świata jest wielką własnością jego. W żadnym z wielkich dzieł, nie znachodzi się podobna nieoględność, tak ona jest przeciwną istotnemu poezyi zadaniem. A. Groza w Pokucie Zeleźniaka dopełnił, choć dopełnił źle, warunku tego: podania gminne są tam biegunami, na których się rzecz obraca; użycie ich takie przecież widno nie z rozmysłu lecz z przypadku poszło — w przeciwnym albowiem razie nieomieszkałby powtórzyć go w Soroce. Gdyby tak zrobił, przy doskonałém obrobieniu szczegółów tylu, duma ta byłaby jedną z ozdób celniejszych literatury naszéj.

Nim skończę przegląd całéj dumy, powiedzieć jeszcze wypada o zamykającéj ją pieśni lirnika słów kilka. Pieśń ta przyczepiona niezgrabnie, psuje do reszty wrażenie całego dzieła. Sam rozmiar jéj nie harmonizuje już z poprzednią treścią — zabiera bowiem prawie trzecią część utworu. Toby wtedy tylko uszło, jeśliby rzecz główna znajdowała konieczne wsparcie i wyłuszczenie jak w *Konradzie Wallenrodzie* użytą jest powieść Wajdeloty. Ale śpiew starca na grobie Soroki jakbądź opowiada poprzedzające powieść wypadki, nie tylko nie była konieczną, lecz przeciwnie doskonale obejść by się można bez niéj. Krótkie a silne pożegnanie zmarłego, kilkadziesiąt prostych słów żalu i czci, lepiéj by odpowiedziało w miejscu tém. — Wzięta zaś sama w sobie pieśń mogilna, nie na mniéj surowy zasługuje sąd. Jako należąca do poematu czysto malarskiéj natury, winna się odznaczać najżywszém odbiciem gminnéj pieśni, — stało się inaczéj. — Osobliwie szkodzi jéj brak zupełny jedności, która jest zawsze cechą dum Ludu. — Cóż powiedzieć na wzmiankę, że wódz zmarły sprowadził z Grecyi na Ruś Tatarkę (*hreczkę*)? Zapewne, może to mówić podanie, ale czyż była tu go pora użyć? Wieszcz kozacki, na grobie kozackiego wodza śmiałżeby coś takiego zanucić? —

Taką jest duma Soroka. Jako utwór na podaniu gminném osnuty, jako dzieło całe słabą i ułomną ona; przecież kto szukać zechce pojedyńczych wybornych toków ukraińskiéj pieśni i obrazów ukraińskiego świata, do niéj niech się uda, a znajdzie zadowolnienie rzetelne. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Wrocław. — Zacny i uczony Smolar zamyśla w tym roku wydawać nowe pismo: »Jutniczkę«, w miesięcznych zeszytach po trzy arkusze. Prenumerata wynosi 3 Tal. Życzemy z serca szczęścia przedsięwzięciu tému, zachęcając do jak najrychlejszéj prenumeraty — gdyż szan. wydawca dopóty nie zamyśla rozpocząć wydawania zamierzonego pisma, dopóty przynajmniéj 100 stałych nie znajdzie prenumeratorów. Prenumeratę przyjmują w Poznaniu księgarnie niemniéj redakcya Tygodnika.

(Nadesłano.)

Spostrzeżenia nad spostrzeżeniami lingwistycznemi.

Czytałem Orędownika numer 43, a w nim pomiędzy innémi, artykuł z napisem: »*Spostrzeżenia lingwistyczne*«, w którym troskliwy o zbogacenie języka naszego badacz uważając, że używany dotąd na oznaczenie łacińskiego Subjectum polski wyraz podmiot, nie oddając całkiem łacińskiego, nie dość szczęśliwie utworzony, proponuje inny, a tym jest *kmiot*, *kmieć*: podmiotowość byłaby podług tego *kmiotowością*. Ciekawością by było prawdziwą, żeby wszyscy, którzy czytali wyżéj wzmieniony artykuł, z pojedyńcza napisali, co sobie każdy po przeczytaniu jego pomyślał. Pytamy się Orędownika, a raczéj autora tego artykułu, poczciwego kmiotka, czy on sobie tym nowo utworzonym wyrazem chciał zadrwić tylko z innych nowo utworzonych filozoficznych wyrazów polskich, czyli téż to serio jego zdanie. — Wiedząc atoli, że Orędownik przeciwi się wszelkim nowym ideom, pomysłom, wyrazom, w ogóle wszelkiemu nowatorstwu wtenczas tylko, skoro takowe inne pisma objawiają, sam zaś pozwala sobie dość często wybryków fantazyi, która niestety najczęściéj jest niewczesną; musimy przypuszczać, że to serio rzecz wzięta, wyznać jednakże, że dla tego tylko zarzucać wyraz podmiot, że się przy tém przypomina zaraz: wymiot, pomiot i inne, jest cokolwiek śmiesznie; że nadto wyraz kmiot nietylko nie lepiéj, ale bez porównania gorzéj jak podmiot, tłumaczy łacińskie subjectum. W ten sposób postępując, musielibyśmy wiele innych wyrazów, którym dodawszy lub odjąwszy jednę zgłoskę, inne zupełnie, a często nawet niesmaczniejsze jak wymiot nadaje się znaczenie, z języka naszego wyrugować. — Wyraz ten podmiot nie jest zresztą nic tak zupełnie nowego, jak się to autorowi zdaje; napotykamy go już w pismach Kalasantego Szaniawskiego, któremu chociaż nic innego, to przynajmniéj znajomość języka polskiego przyznać było można. — Przyczyny przytoczone przez autora, aby wyrobić prawo obywatelstwa dla nowego wyrazu »kmiotek« w języku polskim, tak są blache, że przez ten artykulik dowiódł autór naprzód nieznajomości znaczenia dawnego i dzisiejszego polskiego wyrazu »kmiotek«, daléj, że mieszając go z łacińskiém subjectum, pokazał, że i znaczenia tego nie zrozumiał.

* *
*

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień we Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*